

Kobiety przywódcami bandytów

Jedna ze „specjalności” chińskich

Bandytyzm pod rozmaitemi postaciami był już oddawna w Chinach rzeczą powszechną, od kiedy zaś upadło dawne cesarstwo i państwo Złotego Smoka stało się terenem bezustannych wojen, koniunktura dla bandytów znakomicie się spotęgowała. Rzeczą jednak, która w tym bandytyzmie szczególną zwraca uwagę, jest ogromna ilość band będących pod dowództwem kobiet.

Sami Chińczycy dziwią się tą niezwykłą inflacją, która jest charakterystycznym dowodem anormalności istniejących stosunków. Niemniej jednak jest faktem, że japońska komenda w Pekinie skazuje na karę śmierci po kilka takich amazonek co miesiąc. Są między niemi naogół przywódczyni pomniejszych band, nie ciesząc się zbyt wielkim rozgłosem, zdarzają się jednak także i takie, których „chwała” dotarła aż do Europy.

Bodajże najsłynniejsza bandytka chińska była ta, którą powszechnie znana pod przydomkiem Kwiatu Lotosu. Prawdziwe jej nazwisko brzmiało Lichosand. Poza tym jednak nikt nie umiał bliżej powiedzieć, skąd się wzięła. Mówiono rozmaicie. Najwięcej wiary spotykała opowieść, że Lichosand jako mała dziewczynka została wyratowana z płonącego pałacu jednego z wielkich wodzów chińskich. Potem została sprzedana właścicielowi jednej z pływających herbarciarni, t. zw. łodzi kwiatowych, który swą służebnicą orał, jak woleł.

Coprawda, było w co orać, gdyż Lichosand odznaczała się niezwykłym, jak na kobiety chińskie, wzrostem, a tusza jej rywalizowała z wysokością. Pewnego jednak razu olbrzymka miała dość już służby na łodzi kwiatowej i, rozbawiony swemu właścicielowi głowę toporem, uciekła wraz ze zbieraniną z jego kasy pieniędzy. Przybrała sobie do pomocy dwóch silnych włóczęgów i rozpoczęła rozboje. Po pewnym czasie musiała jednego z nich zabić, gdy zaczął się zbyt wyzywająco zachowywać i zbyt wielkiego udziału w łupie wymagać. Na to miejsce jednak przybyli inni kandydaci. Banda Kwiatu Lotosu była coraz głośniejsza i coraz skwapliwiej garnęły się do niej różne mętne żywioły, aż wreszcie doszła do siły 250 ludzi, wcale dobrze uzbrojonych (rozporządzali przeszło 50 karabinami, co jak na chińskie warunki nie jest rzeczą codzienną i na wszystko gotowych.

Cała okolica dolnego Jangtseku drżała przed Kwiatem Lotosu i bez szemrania uiszczała mu żądane haracze. W miarę jednak powodenia rosły także apetyty. Przywódczyni bandy, która, wtargnawszy do miasta Wuchang, porwała kupca Yen Hsien i uprowadziła go do swej kwatery głównej, położonej w niedostępnych bagnach nadrzecznych. Żądany okup wynosił niesłychaną dotąd sumę 50.000 chińskich dolarów.

Ten wyczyn wywołał oburzenie w całym kraju. Gubernator prowincji Hupeh otrzymał rozkaz skończenia za wszelką cenę z niebezpieczną bandą. Dwie kanonierki, każda z 50 żołnierzami, wyposażona nadto w karabiny maszynowe i armaty oraz reflektory, wyprawy się na poszukiwania, ale po miesiącu musiały wrócić z niczem: banda była niedosiężna i po staremu grasowała dalej. Cała ludność, obawiając się zemsty bandytów, niechętnie odnosiła się do akcji wojskowej władz, nawet kupcy w Wuchang byliby chętnie zapłacili okup (który Kwiat Lotosu zredukowała już do 10.000 dolarów), ale wojskowi nie chcieli się na to zgodzić, dopiero gdy ekspedycja karna nie dała rezultatu, mogli się kupcy wuchangscy wyprawić z żądaniem okupu. Kwiat Lotosu wyszła na ich spotkanie w towarzystwie dwóch najcięższych spośród swoich drabów.

Ale tu pokazała się, że ta niezwykła kobieta, która w postrachu potrafiła utrzymać najdzikszych zbrodniarzy, zbyt zaufała w swoją szczęśliwą gwiazdę. Bo gdy już pieniądze odebrano, a kupiec Yen Hsien znalazł się w gronie swych przyjaciół — wybaczeni (którego tymczasem srodcie okaleczono, gdyż bandyci dla przyspieszenia wypłaty okupu posyłali do Wuchang to jego odcięte ucho, to któryś z palców), obaj towarzysze rzucili się na Kwiat Lotosu i rozstrzaskawszy jej głowę kolanami karabinów, porwali pieniądze, aby się z niemi bez śladu ulotnić.

Pozbawiona dowództwa banda nie utrzymała się już długo. Wkrótce rozgromiła ją wojska rządowe, biorące wszystkich uczestników do niewoli. Większość z nich została ścięta.

Nankin był świadkiem egzekucji innej bandytki, czarnookiej Annie Wo, znanej pod nazwiskiem „Królowej Piratów”. Była ona żoną dowódcy korsarskiego okrętu, a gdy ten w walce z patro-

lujący morzem statkiem przybrzeżnym poległ, objęła po nim komendę. Niezwykle sprężysta i energiczna, Annie Wo, choć niewielka wzrostem, potrafiła trzymać w ryzach całą załogę, przeciwko ewentualnym buntom asekurując się w ten sposób, że cały arsenał, wynoszący 20 karabinów, trzymała zawsze pod kluczem, a wydawała go tylko bezpośrednio przed bitwą.

Przez długi czas „Królowa Piratów” królowała nad całą zatoką Bias, pobierała haracze, dokonywała eksproprijacji. Ale każdy Napoleon ma swoją Moskwę. Gdy pewnej nocy Wo napadła port Macao i ograbiła jedną z licznych w tem mieście jaskiń gry, skończyło się jej powodenie. Okazało się bowiem, że właścicielem tego lokalu była jedna z najwplywowszych osobistości w

Hong Kong, która nie mogła darować doznanego wrażenia. Naogół przecież każdy z bandytów chińskich wie dobrze, że wolno mu grasować bezkarnie, ale nie wolno narażać na szwank interesów pewnych osobistości, będących protektorami bandytyzmu wśród władz centralnych.

To też nie minęło dwa tygodnie, a kat nankiński w obecności tysiącznych tłumów pozbawił pannę Wo głowy.

Mniej tragiczny koniec spotkał 27-letnią Sue Nakawura. dowodzącą bandą zbójczą na południu Chin — słynną z piękności wśród wszystkich bandytek. Jako obywatelka japońska, nie poniosła ona kary śmierci w Chinach, gdzie poprzestano na jej wybicowanie, poczem została deportowana do swej ojczyzny, gdzie się nią zajęły sądy japońskie.

Przeniknął tajemnicę rulety

ale majątek zdobył inną drogą

W południowej Francji zmarł w tych dniach jeden z najbogatszych właścicieli tamtejszych winnic, Camille Chautard, kanadyjczyk z pochodzenia, który swe go czasu zrobił furorę w Monte Carlo jako odkrywca niezgłębionej dotąd przez pikiego tajemnicy szczęśliwego grania.

Jako młody oficer lotnictwa, przybył Chautard wraz z oddziałami kanadyjskimi wojnę światową na front francuski, a gdy po wojnie był zdemobilizowany, postanowił zrobić wielki majątek. Miał niejasne, ale pewne uczucie, że mu się to musi udać w krótkim przeciągu czasu, gdyż los przeznaczył go do bogactwa. Ale w jaki sposób? Najprawdopodobniej przy grze.

Pojechał więc do Europy i już pierwszego wieczora, który spędził w kasynie w Monte Carlo, wstał od stołu z milionową wygraną. Wszyscy goście kasynowi skupili się przy szczęśliwym graczu, któremu udawały się najfantastyczniejsze serie wygranych i który zmieniał stawki, jak gdyby zgóry wiedział, gdzie należy umieszczać. Czyżby odkrył ten niezawodny „system”, którego od tylu lat nadaremnie poszukiwały dziesiątki tysięcy bywalców kasynowych?

Tymczasem, jak opowiada obe-

enie Chautard w swoim testamencie, nie było tu mowy o żadnym „systemie”, ale poprostu o instynkcie, którym bezwiednie się kierował w decyzji, na jaki numer, czy kolor postawić. Instynkt zapewnił mu sukces już przy pierwszej próbie z ruletą i nie zawodził go przez szereg lat następnych, i w dalszym ciągu za pomocą gry starał się zdobyć wielki majątek.

„Grałem zawsze wyłącznie kierując się nie rozumem, ale jakimś podświadomym wrażeniem. A były one tak silne, że „w dobrych dniach” chwytałem, nie wiedząc o tem, każdą prawie szansę. Po tej słynnej nocy w Monte Carlo wędrowałem przez trzy lata po całym świecie od jednego domu gry do drugiego, zawsze wygrywając, ale od czasu do czasu także przegrywając. — Ostatecznie zaś wyszedłem... na zero. Z rachunków, jakie prowadziłem, wynika, że w ciągu tego okresu wygrałem łącznie 14 milionów franków — ale taką samą sumę wynosiły również łączne przegrane.”

A jednak, Camille Chautard zdobył ten wielki majątek, o którym zawsze mu mówiło przecucie, że go nie minie. Tylko, że inną zgola drogą. Pewnej nocy, wygrywając wszystkiego tylko 500

Jeszcze jedna ofiara „Titanic’a”

Zrujnowane nerwy sternika

Sądy angielskie rozpatrywały niedawno sprawę Roberta Hithchensa, który dokonał zamachu rewolwerowego na swego przyjaciela, a następnie sam pragnął sobie odebrać życie. Proces ten, sam w sobie nie zawierający żadnych osobliwości, zwrócił jednak uwagę ze względu na walkę o „Błękitną wstęgę Atlantyku”, o którą niedawno pokusiła się „Queen Mary”, a która do pewnego stopnia stała się przyczyną katastrofy „Titanic’a”, pędzącego między górami lodowymi w war-

jackiem na owe czasy tempie. Hithchens był sternikiem na nieszczęsnym statku i miał służbę właśnie w chwili, gdy zaszła katastrofa. Gdy sprostowano zbliżające się zderzenie z górą lodową, zapóźno już było na odwrócenie katastrofy. Hithchens był świadkiem rozdzierających serce scen i aż do ostatniej chwili nie

schodził ze swego posterunku — poszedł pod wodę razem z okrętem. Jakże się stało, że mimo to uszedł z życiem? Niewiadomo, dość, że gdy odzyskał przytomność — leżał na łóżku szpitalnym jako jeden z niewielu uratowanych.

Ale straszna noc pozostawiła w jego psychice trwałe ślady. Noc w noc sniła mu się straszna scena tonięcia statku i ciągle dręczyły go wyrzuty sumienia, czy to nie on przypadkiem jest winowajcą. Wprawdzie na rozprawie sądowej uznano, iż nie ponosi on żadnej winy, jednak Hithchens nie mógł sobie dać rady i był oddat złamanym człowiekiem, ciągle prześladowanym przez widziadła i upiory. Spadał też coraz niżej i wegetował wśród najgorszych spelunek marynarskich.

Pewnego dnia spotkał go na ulicy stary przyjaciel, który chciał pomóc Hithchensowi, pożyczyl mu pewną sumę pieniędzy na kupno łodzi motorowej, aby mógł przewozić towarów zarabiać na życie. Ale nerwy Hithchensa nie dorosły już nawet do tego, stosunkowo lekkiego, zajęcia. Po upływie krótkiego czasu, motorówka jego dostała się w ręce wierzycieli.

Ale rozczarowanie tym ostatnim zawodem życiowym wykołowało Hithchensa zupełnie. Całe jego rozgoryczenie skupiło się właśnie... na osobie przyjaciela, który mu tak bezinteresownie chciał pomóc. Pewnego dnia udał się do jego mieszkania i szeregami strzałów rewolwerowych próbował skończyć z nim i z sobą. Na szczęście obaj wyszli z tej operacji cało i przed sądem w Winchester Hithchens ze skruchą i rezygnacją prosił o karę. Otrzymał 5 lat więzienia.

HUMOR

NAJDŁUŻSZE DNI

Nauczyciel: — Kiedy dzień jest najdłuższy?

Józio: — Od 21 do końca miesiąca. Ojciec mówi zawsze: „Kiedy nadejdzie pierwszy?”

POD GAZEM

Na rogu ulicy stoi jednokonna dorożka. Zataczając się zlekka, przechodzi obok niej bywalec klubu karcianego.

— Dwukonko? — rzuca pytanie dorożkarzowi.

— Nie! — mruczy ten ze złością.

— Twoje szczęście! Inaczej przegrałbyś konia! (Le Rire).

MARJAN MALKOWSKI

15)

TAJEMNICA

ZA KAŻDEMI DRZWIAMI

Powieść

Umilkła i przez chwilę patrzyła przed siebie niewidzącami oczyma.

— Ostatni wieczór... podjęła znowu wysiłonym szeptem — spędziłam razem... Nazajutrz nie widziałam go już; wiem, że miał rano pracować a poobiedzie jechać do Warszawy. Ponieważ często nie wracał przez kilka dni nie niepokoiłam się, gdy nie zjawił się ani wieczorem, ani nazajutrz... Dopiero dziś, w południe, gdy właściciel domu, w którym mieszkali Juljusz przyniósł mi gazetę... — głos jej przeszedł w suche, napróżno powstrzymywane łkanie.

Chwilę nuzącego milczenia przerwał głośny dzwonek telefonu. Sędzia Adulski podniósł się skwapliwie z miejsca.

— Halo... dobry wieczór, panie Komisarzu... Oczywiście, proszę bardzo! Zastanie pan tutaj panią Izę Martenową... tak, tak... Czekamy!

— Komisarz Pietraszek wkrótce tu będzie — zwrócił się do Izy Adulski, — ma mi coś do zakomunikowania i oczywiście skorzysta, by postawić pani kilka pytań, o ile czuje się pani na siłach...

— Jestem silna, panie sędzio! — uśmiechnęła się smutnie Martenowa brzękami pięknych ust.

— Może filizankę kawy? to panią pokrzepi...

Sędzia Adulski zerwał się żywo i zniknął za szarą zasłoną, oddzielającą pokój od kuchenki.

Pan Jankiewicz chrząknął i poprawił się w krześle.

— Przepraszam panią — rzekł z zakłopotaniem — bardzo panią przepraszam... Czy mógłbym zapytać, jak dawno mieszka pani w Pruszkowie?

— Od pięciu lat... odpowiedziała, obrzucając Jankiewicza trochę zdziwionym spojrzeniem.

— Pani jest wdową?

— Tak, mąż mój zmarł przed pięcioma laty i wtedy właśnie przeniosłam się do Pruszkowa do jego ciotki. Staruszka zmarła po kilku miesiącach, a ja dotąd mieszkam w jej domu.

— Hm... czy narzeczony pani również i o swojej przeszłości mówić nie lubi?

— Tak, mówił niewiele... Wiem, że spędził dzieciństwo w Kielcach, że starzy państwo Cholyńscy umarli już kilkanaście lat temu... i to chyba wszystko!

— A może pamięta pani, co to było za pismo, w którym artykuły drukował pan Cholyński?

Sędzia Adulski, który właśnie wrócił z filiżanką kawy na tacy spojrzął na Jankiewicza zdziwiony.

— Doprawdy nie pamiętam — zmarszczyła w namyśle brwi pani Martenowa, — ale zdaje mi się, że pismo to przestało już wychodzić.

Jankiewicz zdawał się nie słyszeć jej odpowiedzi. Patrzył na piękne ręce Martenowej powleczone złotawym cieniem opalenizny.

— Uprawia pani sporty?

— Tak, tenis i wiosłowanie... — odpowiedziała machinalnie.

Wzięła z rąk Adulskiego filiżankę i pić zaczęła z tem nerwowym tępem spojrzeniem swych, ciemnych bez blasku oczu. Dopiero wejście komisarza Pietraszki zbudziło ją z zadumy. Podniosła na niego oczy i przyjrzała mu się uważnie od stóp do głów. Cierpliwie, chłodno odpowiadała mu na zadawane pytania, powtarzając prawie wszystko to, co już mówiła sędziemu. Komisarz Pietraszek nie był zadowolony. Kręcił głową i stukał ołówkiem w swój gruby, czarno oprawny notes.

— Czy w rozmowach narzeczony pani nie wymienił nigdy żad-

nego nazwiska? — zapytał wreszcie — nigdy nie wspomniał o kimś znajomym lub kimś, kto mu dawał pracę?

— Nigdy... — potrząsnęła głową Iza. — Jeśli wymieniał kiedy ludzi to dawał im zazwyczaj jakieś przezwiska... Zapamiętałam z nich tylko jedno, bo to było niedawno: śmiał się i mówił, że będzie teraz wielkim panem, a „stary goryl” pęknie ze złości... Zresztą i takie powiedzenia trafiały się bardzo rzadko.

— Ale czy nigdy nie wpadła w pani ręce jakaś koperta listu zaadresowanego, jakaś notatka...

— Nigdy... nie wiem nawet czy Julian prowadził z kimkolwiek korespondencję... ale — zawahała się i zatrzymała niezdecydowana.

— Ale?... — podchwycił komisarz Pietraszek.

— Kiedyś, — zaczęła niechętnie Martenowa — znalazłam w książce, którą mi Julian przyniósł do czytania, skrawek papieru z zapisanym numerem telefonu i nazwiskiem. Numeru telefonu nie pamiętam.

— A nazwisko?

— Welten, czy Westen...

— Westen! — podchwycił sędzia Adulski.

— Tak, Westen...

— A gdzie ta kartka?

— Oddałam ją Julianowi.

— I nie pytała pani o wyjaśnienie?

— Nie pytałam nigdy o wyjaśnienia... oddałam kartkę Julianowi a on schował ją w mileczeniu do kieszeni.

Pani Iza podniosła się z miejsca.

— Jeśli pan sędzia pan pozwoli, pojdę już... czuję się wy-czerpana.

— Oczywiście, rozumiem panią — odparł uprzejmie sędzia Adulski — jestem pani bardzo wdzięczny, że okazała pani gotowość przyjęcia z pomocą śledztwu. Martenowa podała mu białą, długopalcą rękę.

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony: 666-68 (redaktor naczelny), 666-68 (sekretariat), 666-99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefony: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgowność i Kasa 220-80. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59, Włocławek, Cyganki 24, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dzielnikiem Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł., opisy specjalne — 3 zł., lekarzkie — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.